

Teksty Drugie 2004, 3, s. 193-208



# **Nowojorskie tajemnice życia i śmierci Jana Lechonia.**

Beata Dorosz

## Beata DOROSZ

### Nowojorskie tajemnice życia i śmierci Jana Lechonia

Kiedy przed kilkoma laty podjęłam myśl opracowania *Kroniki życia i twórczości Jana Lechonia*, oczywiście było, że bez spenetrowania amerykańskich źródeł archiwalnych wykonanie tego zadania nie będzie możliwe. Wydawało się to wręcz konieczne, bowiem – jeśli przyjąć, że pierwszy etap biografii poety, tj. debiut i rozwój aktywności literackiej i publicystycznej oraz politycznej i towarzyskiej w dwudziestoleciu międzywojennym w kraju i podczas jego pobytu w Paryżu jest stosunkowo dobrze znany – o tyle emigracyjny okres jego życia był stosunkowo najmniej rozpoznany i najslabiej opisany.

Dwukrotne stypendium Fundacji Kościuszkowskiej (1998 i 2000) oraz kilka innych wyjazdów do USA, wykorzystywanych skrzętnie dla nieustannego gromadzenia materiałów, miały przynieść odpowiedzi na różne pytania i wypełnić luki w dotychczasowej wiedzy polonistycznej<sup>1</sup>.

W dużej mierze tak właśnie się stało. Za sprawą materiałów zachowanych głównie w Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku udało się wyjaśnić wiele zagadek. Ale też nieoczekiwanie dla mnie archiwalia te ujawniły zagadki nowe, których do tej pory nie udało się rozwiązać. Niniejszy tekst jest pierwszą próbą ich wyartykułowania, zmierzającą do pewnego rodzaju „uporządkowania” tych kwestii z myślą o dalszych działaniach badawczych.

Pierwszą intrygującą tajemnicę stanowią nowojorskie adresy poety. Istnieje przekonanie, że po przyjeździe w sierpniu 1942 z Brazylii do Stanów mieszkał Lechoń przez dłuższy czas w Sea Cliff, w pensjonacie prowadzonym przez dwie Jani-

---

<sup>1</sup> Rezultaty tych badań i poszukiwań relacjonowałam m.in. w artykułach: *Archiwum Jana Lechonia w Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku. Relacja z badań*, „Pamiętnik Literacki” 1999 z. 3, s. 167-193 oraz *Polonijne zbiory archiwalne w USA w badaniach nad biografią Jana Lechonia*, „Teksty Drugie” 2001 nr 5, s. 116-124.

ny – Strzetelską i Czermańską<sup>2</sup>. Tymczasem sprawa nie jest wcale tak oczywista. Po pierwsze, zachowała się karta identyfikacyjna Lechonia, wystawiona przez *U.S. Department of Justice, Immigration & Naturalization Service*, która podaje miejsce zamieszkania poety: Hotel Shelton, 48 Str./Lexington Ave., ważna od grudnia 1942 do czerwca 1943. Tu wyjaśnienie wydaje się być stosunkowo proste: zapewne przyjeżdżając z Sea Cliff do Nowego Jorku w sprawach zawodowych – np. redagowania „Tygodniowego Serwisu Literackiego Koła Pisarzy z Polski” (wydawanego w 1941-1942, także pod tytułem „Tygodniowy Przegląd Literacki Koła Pisarzy z Polski”, przekształconego później w „Tygodnik Polski”, wychodzący w 1943-1947), czy spotkań w Polskim Instytucie Naukowym, potrzebował Lechoń miejsca, gdzie mógłby zatrzymać się na kilka dni. Używał też w tym samym celu pokoju przyjaciółom – o czym świadczy wpis Kazimierza Wierzyńskiego w *Księdze Gości*<sup>3</sup> Lechonia:

„1 marca 1943 w Nowym Jorku w hotelu Shelton (Lexington Ave & 49th St.) Kazimierz Wierzyński sam jeden przespawszy się po południu – Kochnitzky<sup>4</sup> czeka w «Tygodniku Polskim»”.

Jednak chciałoby się zacytować znane polskie przekadło: „im dalej w las, tym więcej drzew”, co w tym wypadku oznaczałoby, że – im dalej Lechoń zanurzał się w „amerykańskość” czy „nowojorskość”, tym sprawy bardziej się komplikują. We wspomnianej *Księdze Gości* widnieje bowiem poczyniony ręką Lechonia wpis: „New York, 10 East 67 Street, 16 I/44”, pod nim zaś podpisani są: Irena Popielska i Władysław Besterman, Zygmunt Modzelewski, Sława Krancowa, Aubrey Johnston i Karin Tiche<sup>5</sup>. Dziś już tylko pani Falencka (Karin Tiche) mogłaby opowie-

---

<sup>2/</sup> Janina Strzetelska, z domu Mękarska, żona Stanisława Strzetelskiego (1895-1969), dziennikarza, współzałożyciela i sekretarza generalnego Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku, w 1951-1955 szefa Polskiej Sekcji Radia Wolna Europa w Nowym Jorku. Janina Czermańska, żona Zdzisława Czermańskiego (1901-1970), prozaika, malarza i karykaturzysty. Prowadzony przez obie panie pensjonat w Sea Cliff na Long Island odgrywał w kręgu ówczesnej emigracji polskiej rolę ważnego centrum spotkań i integracji.

<sup>3/</sup> Oryginal *Księgi Gości* znajduje się w archiwum Jana Lechonia w Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku. Fototypiczne wydanie, zawierające rozszyfrowanie wpisów i omówienie postaci (w opracowaniu piszącej te słowa) ukazało się nakładem Wydawnictwa ALGO, Toruń 1999.

<sup>4/</sup> Leon Kochnitzky, krytyk muzyczny, znany Lechoniowi z Paryża, gdzie był redaktorem „La Revue Musicale”, po wojnie zamieszkały w Nowym Jorku.

<sup>5/</sup> Irena Popielska (1905-1990), tancerka i aktorka scen polskich i francuskich; w czasie wojny była w Nowym Jorku członkiem zespołu Polskiego Teatru Artystów. Władysław Besterman (1903-1974), dyplomata; w czasie wojny attaché prasowy Ambasady RP w Waszyngtonie; po wojnie pracował w *Committee on Immigration and Naturalization* przy Izbie Reprezentantów oraz był stałym radcą Komisji Prawniczej, a także (w 1951) głównym doradcą Komisji Izby Reprezentantów do Badania Spraw Uchodźców. Zygmunt Modzelewski (1907-1983), aktor, reżyser teatralny; w 1942-1945 grał i reżyserował w Polskim Teatrze Artystów Nowym Jorku. Sława (Stanisława) Krancowa,

## Dorosz Nowojorskie tajemnice życia i śmierci Jana Lechonia

dzie o tym spotkaniu, które mogło być inauguracją nowego salonu wśród emigracji nowojorskiej, skoro w kilka dni później Ryszard Ordyński<sup>6</sup> odnotował w *Księżde Gości* w następujący sposób swoją wizytę: „Ze znowu otwierasz podwoje, będziemy tu chodzić, 26 stycznia 1944”.

Właścicielem domu był Vincent Sorey, według Lechonia „skrzypek, kapelmistrz, właściciel teatrów, pełna koloru zawsze spocona i niezbyt domyta figura – Włoch robiący tu od lat pieniądze na sztuce, domach, statkach”<sup>7</sup>, ukrywający swoją „wynajemczą” działalność pod szumnie brzmiącą nazwą *The Sponsors of Arts Association*. Z notatki *Dzienniku*<sup>8</sup> wnioskujemy, że Lechoń był jego klientem już w 1943. A z zachowanych czeków i rachunków wynika, że ten samodzielny apartament w jednym z najbardziej eleganckich miejsc na Manhattanie wynajmował poeta przynajmniej jeszcze do maja 1953 za niebagatelną wówczas sumę 115 \$ miesięcznie. Wszakże nie sam chyba ponosił ten ciężar, bo odnotował w *Dzienniku* fakt, że posiada tam lokatora<sup>9</sup>. Jakie było jednak przeznaczenie tego *locum*? – to jedna z Lechoniowych nowojorskich zagadek. Za salonem przemawiałby fakt, że wśród licznych archiwaliów osobistych, zachowanych w PIN, odnaleźć można bilety wizytowe Lechonia z adresem właśnie z 67 ulicy. A może po prostu elegancka garsoniera? – bo chyba jednak nie salon towarzyski, skoro inne osoby z kręgu najbliższych przyjaciół poety, indagowane na ten temat, dopiero ode mnie dowiadywały się o istnieniu tego miejsca. Garsoniera byłaby prawdopodobnie wyjaśnieniem najprostszym – wobec faktu, że mniej więcej od sierpnia 1949 równocześnie wynajmował Lechoń pokój w mieszkaniu dwóch Amerykanek przy 514 West 114 Street, z oknem na wprost wejścia na dziedziniec Columbia University. Zrozumiałe, że wspólne mieszkanie w niektórych okolicznościach życia osobistego poety mogło być krępujące, jednak o obu paniach wyrażał się poeta niezwykle ciepło, m.in.:

Moje gospodynie, starsze panie nauczycielki, od których wynajmuję mój ciemny pokój, są Amerykankami z urodzenia, ale były zamężne za Niemcami i spędziły znaczną część życia w Europie. Wśród wszystkich swoich bardzo dokuczliwych kłopotów – było to

---

żona Michała Kranca, przemysłowca, właściciela fabryki metalurgicznej (zlikwidowanej po wojnie). Aubrey Johnston – będzie o nim osobno mowa w dalszej części artykułu. Karin Tiche, żona Władysława Falenckiego (zm. 1990), aktorka grająca w Polskim Teatrze Artystów w Nowym Jorku; później aktywnie zaangażowana w życie nowojorskiego polskiego środowiska emigracyjnego, do dziś zamieszkała w Nowym Jorku.

6/ Ryszard Ordyński (1878-1953), reżyser teatralny; w 1941 wspólnie z Jadwigą Smosarską założył Komitet Pomocy Polskim Aktorom na Wýgnaniu, w 1942-1945 współpracował z Polskim Teatrem Artystów Nowym Jorku; w 1947 powrócił do kraju.

7/ *Dziennik*, 24 sierpnia 1950, t. 1, s. 387. Wszystkie cytaty z *Dziennika* Jana Lechonia pochodzą z wydania: Warszawa, t. 1-2 1992, t. 3 1993.

8/ *Dziennik*, s. 387.

9/ „Rozmowa z Pałacim (psychoanalityk, mój lokator na 67 ulicy [...])”. *Dziennik*, 2 września 1949, t. 1, s. 28.

## Archiwalia

prawie szczęście, żem na nie trafił. Są one zaprzeczeniem amerykańskiej, a raczej hollywoodzkiej niedyskrecji, mają staromodny kult muzyki, starą suczkę jamniczkę, bardzo pocieszną, i są szczęśliwe, jeśli poproszę o filiżankę herbaty, która mi się bynajmniej nie należy. Czuję się wśród nich jak w salonach w najlepszym przedwojennym życiu. Te panie nazywają się Mrs. Cora Lehman i Mrs. Estella Marburg. Gdybym kiedyś zasłużył na obszerną biografię, proszę jej autora, aby o tych paniach nie zapomniał.<sup>10</sup>

Problem komplikuje się jednak jeszcze bardziej z chwilą, gdy w październiku 1951 Irena Cittadini, wieloletnia mecenaska poety, wynajęła mu samodzielne mieszkanie przy 505 East 82 Street, za które zobowiązała się w ciągu pierwszego roku płacić miesięczny czynsz w wysokości 110 \$. Wyjątkową radością z przeprowadzki do nowego mieszkania dzielił się Lechoń np. w listach do Mieczysława Grydzewskiego<sup>11</sup> w Londynie i dawał jej wyraz wielokrotnie na kartach *Dziennika* – widząc w nim pierwszą po wielu latach tułaczki własną ostoję; doszukiwał się też innych jej uroków, nostalgiczno-sentymentalnych, pisząc:

Tak jak Park Avenue koło 68-ej przypomina mi okolice parku Monceau i Bld de Courcelles, tak 86-a koło East Endu ma coś z dzielnicy Łazienek w Warszawie, nie wiem czy przez drzewa, czy przez widok na jakiś dom za rzeką, podobny do kordegardy czy koszar z czasów nocy listopadowej. Łazienki, poprzez „Noc” Wyspiańskiego, była to najbliższa mi, najbardziej wzruszająca mnie aura. – Dlatego doznawszy tej asocjacji – poczułem się od razu dobrze w tej dzielnicy, w której będę mieszkał, poza tym brudnej i pełnej smutnych domów.<sup>12</sup>

Kiedy ustal „sponsoring” księżnej Cittadini, w następnych latach opłata czynszu była już sprawą samego Lechonia – widać jednak radził sobie z nią z powodzeniem, bo mieszkanie to służyło mu do końca życia. Dlaczego – lub może: dla kogo – przynajmniej jeszcze do maja 1953 (według zachowanych rachunków) wynajmował apartament przy 67 ulicy?

Tu wchodzimy w obszar kolejnej nowojorskiej tajemnicy Lechonia – ze świadomością wszakże, że dotykamy sfery niezwykle delikatnej, bo najbardziej osobistej. Trzeba by bowiem znaleźć odpowiedź na pytanie o partnerów intymnego życia poety.

O jednym z nich pisywał Lechoń bardzo często w *Dzienniku*, używając zwykle określenia „najdroższa osoba” i zaledwie parę razy tylko nazywając go po imieniu – Aubrey. Mężczyzna ten pojawia się już w styczniu 1944 na kartach *Księgi Gości*,

<sup>10/</sup> *Dziennik*, 22 listopada 1949, t. 1 s. 128.

<sup>11/</sup> Listy te nie były dotychczas publikowane. Oryginały (245 listów) odnalazłam wiosną 2000 w Houghton Library na Harvard University w Cambridge. W połączeniu z listami (233) Grydzewskiego do Lechonia, przechowywanymi w Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku, stanowią bogaty (aczkolwiek niekompletny) zbiór korespondencji poety z przyjacielem-redaktorem z lat 1923-1956. Obecnie zajmuję się przygotowaniem całości do wydania w edycji krytycznej (prawdopodobnie na przełomie 2005/2006).

<sup>12/</sup> *Dziennik*, 22 października 1951, t. 2, s. 270.

## Dorosł Nowojorskie tajemnice życia i śmierci Jana Lechonia

a z notatki w *Dzienniku* wynika, że poznali się tuż po przyjeździe Lechonia do USA: „«Najdroższa osoba», tak droga jak nigdy od czternastu lat [...]”<sup>13</sup> – było to więc uczucie trwające przez wiele lat. Nie był to związek banalny, bo w takim przypadku nie znajdowałibyśmy w *Dzienniku* m.in. takich wyznań:

„Najdroższa osoba” – oto określenie, w którym zawiera się istota mojego do niej stosunku. Jest to uczucie weszło mi już w krew, wysublimowane do szczytów idealizmu i poświęcenia, a ukrywające na dnie piekło miłości. Uczucie mające wszelkie pozory przyzwyczajenia, ale to przyzwyczajenie ma potęgę namiętności. Są dni i tygodnie, nawet miesiące, kiedy uciekam od niego przekonany, że pochłania mnie ono, że gubię się w nim. A później doznaję jasnowidzenia – że żyję najbardziej wtedy, gdy żyję nim właśnie!<sup>14</sup>

albo:

Jakżeż dawno już nie pisałem o „najdroższej osobie”. Poprzez ile przypadków i upadków, i najgorszego ze wszystkiego niechłujstwa jest ona „najdroższą”, wciąż „najdroższą” przez cierpienie, którego dzięki niej doznałem, przez to, że czuję zawsze jej smutek, samotność i znam wszystko dobre, co jest w niej, a czego się wstydzi. Obym mógł nigdy nie być powodem tych jej smutków, obym mógł, co jest od początku treścią tego mego uczucia, dać jej coś trwałego, na zawsze, co by pozostało w niej jako oparcie i siła, nawet gdy mnie już nie będzie!<sup>15</sup>

lub też:

Bezmierna pobłażliwość dla przywar i do płaczu rozczulenie nad zaletami, współczucie bez granic dla kłopotów „najdroższej osoby”. Byłem w niej kiedyś zakochany. Teraz ją Kocham. To znaczy więcej.<sup>16</sup>

Kim był? Nie wiadomo. Poeta wspomniał kiedyś w *Dzienniku* o pracy zawodowej przyjaciela, nie ujawniając jednak żadnych szczegółów<sup>17</sup>. Natomiast w zachowanej korespondencji odnaleźć można adresowaną do niego kopertę z adresem firmy *American Broadcasting Corporation*, wówczas mającej siedzibę przy West 42 Street. Dziś stacja telewizyjna ABC mieści się tuż obok Lincoln Center. Stoi przede mną zadanie dotarcia do archiwów tej instytucji, aczkolwiek jego powodzenie już dziś wydaje się raczej wątpliwe – jeśli nawet potwierdzi się fakt, że ów Aubrey Johnston istotnie był tam wówczas zatrudniony, nie sądzę, bym uzyskała informację, czy przyjaciel poety nadal żyje i gdzie go szukać.

---

<sup>13/</sup> *Dziennik*, 10 grudnia 1955, t. 3, s. 745.

<sup>14/</sup> *Dziennik*, 2 maja 1951, t. 2, s. 116.

<sup>15/</sup> *Dziennik*, 17 marca 1952, t. 2, s. 391.

<sup>16/</sup> *Dziennik*, 14 września 1950, t. 1, s. 405-406.

<sup>17/</sup> „Aubrey wraca z pracy o 6-tej, a nierzadko, gdy ma *overtime*, nawet o 7-ej, wychodzi zaś na dziewiątą”. *Dziennik*, 2 lutego 1951, t. 2, s. 37.

## Archiwalia

A właśnie próby odszukania go wydają mi się dziś problemem tyleż karkołomnym, co zupełnie niezrozumiałym. Aubrey nie był bowiem postacią nieznaną polskim przyjaciółom Lechonia, razem z nimi jeszcze kilkakrotnie podpisał się w *Księżde Gości* – raz nawet żartobliwie spolszczając formę swojego nazwiska na Johnston-ski. Ale też polskie otoczenie Lechonia zachowuje na jego temat wyjątkową powściągliwość lub znamienne wręcz milczenie.

Karin Falencka w filmie *Wspomnienia o Janie Lechoni*<sup>18</sup> oceniała, że był to człowiek „bardzo przystojny, inteligentny, wykształcony i wyczulony na sztukę” – była to jednak, jak się okazuje, opinia z tzw. „drugiej ręki”, bowiem w innym wywiadzie przyznała, że osobiście nie знаła Aubreya,

ale Janka [Czermańska – B.D.] znała go bardzo dobrze. Leszek z Janką był bardzo szczerzy, o wszystkich sprawach jej opowiadał, uważał ją za swoją powiernicę.<sup>19</sup>

Z kart *Dziennika* wynika jednak, że osobą najbardziej zaprzyjaźnioną i „wprowadzoną” w tajemnicę związku Aubreya z poetą była Gabriela Wielgosińska. Potwierdzają to też liczne jej listy do Lechonia zachowane w jego archiwum. Wydaje się, że i ona sama nie odgrywała przypadkowej roli w życiu poety, który np. na niespełna dwa miesiące przed śmiercią notował:

Noc bezsenna, dzień koszmarny – gdyby nie opieka Gabrieli, nie wiem, jak bym go wytrzymał.<sup>20</sup>

Kim była? I gdzie szukać jej śladów, skoro w tzw. środowisku nikt jej nie pamięta i nie umie o niej nic powiedzieć. A może właśnie rozmowa z nią byłaby kluczem do niektórych osobistych zagadek życia Lechonia?

Ale przecież była nie tylko Gabriela! Według *Dziennika* bywał Lechoń z Aubreym także u Sławy i Michała Kranców, z listów wynika, że wspólnie odwiedzali też Jadwigę Smosarską i jej męża, Zygmunta Protassewicza. Nie mógł być Aubrey postacią anonimową i dla wielu innych osób, w archiwum poety w PIN zachowała się bowiem fotografia Lechonia siedzącego przy zastawionym stole w towarzystwie Aubreya i Janiny Czermańskiej. Przyjęcie (zapewne gromadzące licznych gości) odbywało się w Ambasadzie RP, o czym świadczy ozdobna okładka fotografii z nadrukiem: *The Polish Embassy. 151 East 57 Street, New York*. Zdjęcie pochodzi więc najpóźniej z pierwszej połowy 1945 – bo z chwilą cofnięcia uznania rządowi londyńskiemu i uznania rządu PRL ambasada II Rzeczypospolitej przestała istnieć.

Inny klucz do sprawy Aubreya wydaje się posiadać Janina Czermańska właśnie. Ta jednak w rozmowie telefonicznej ze mną w kwietniu 1998 – jakkolwiek z całym przekonaniem twierdziła, że Aubrey żyje, a ona sama jest w posiadaniu jego adresu – nie zechciała go udostępnić, powołując się na uzasadnienia natury bardzo osobistej, i kategorycznie odmówiła jakichkolwiek dalszych rozmów na ten temat.

---

<sup>18/</sup> Scenariusz i realizacja: T. Kamiński, Telewizja Polska, Oddział Krakowski 1995.

<sup>19/</sup> *Skamandryci w Nowym Jorku*, rozm. E.R. Nowakowska, „Przekrój” 1990 nr 2342.

<sup>20/</sup> *Dziennik*, 15 kwietnia 1956, t. 3, s. 824.

## Dorosł Nowojorskie tajemnice życia i śmierci Jana Lechonia

Czy wraz ze śmiercią Lechonia Aubrey zniknął z kręgu jego polskich przyjaciół? Czy któryś z nich – i który z nich – opowiedział mu o tym tragicznym wydarzeniu? Aubrey był bowiem od 31 marca 1956 w podróży po Europie, z której pisywał do przyjaciela długie, relacjonujące listy. Korespondencja prowadzona była po angielsku – Aubrey nie znał polskiego. W podróży nie czytał więc polskojęzycznej prasy, a dla prasy amerykańskiej samobójcza śmierć polskiego poety na emigracji w Nowym Jorku nie była wiadomością wartą odnotowania<sup>21</sup>. Ostatni list Aubreya z podróży jest więc datowany 30 sierpnia 1956 – przeszło dwa i pół miesiąca [!] od śmierci (8 czerwca) i pogrzebu (12 czerwca) Lechonia.

Zanim jeszcze w archiwum poety odkryłam ten przejmujący fakt, zetknęłam się w Warszawie z opowieścią, jakoby Aubrey Johnston, już jako starszy pan, pod koniec lat 80. lub na początku 90., odbył podróż do Polski, by tropić w niej ślady Lechonia jako wybitnego polskiego twórcy. Sądzę jednak, że jest to część stale żyjącej i rozwijającej się legendy samego Lechonia. Trudno przecież wyobrazić sobie, by w takiej – w gruncie rzeczy sentymentalnej – podróży, ów rzekomy Johnston nie zechciał szukać pomocy specjalistów – „lechoniologów” – np. w Muzeum Literatury w Warszawie, na uniwersytecie lub w IBL PAN. Nikt go nie spotkał, mimo to ta swoista „plotka” od czasu do czasu bywa w różnych okolicznościach przypominana.

Aubrey jest bez wątpienia postacią kluczową dla rozumienia i opisania nowojorskiej biografii Lechonia. Ale badacze stają wobec tej tajemnicy bezradni. Nawet najnowsze bowiem zdobycze techniki, jak np. wykorzystanie internetu do przeglądania amerykańskich adresów, prowadzą donikąd i przypominają szukanie igły w stogu siana. Mecenasek Ludwik Seidenman<sup>22</sup>, pytany przeze mnie wiosną

---

<sup>21/</sup> Jedyna informacja, *Polish Poet Killed in Fall from Hotel*, ukazała się w „New York Times” dn. 9 czerwca 1956 na 40 stronie [całość gazety liczyła wówczas 42 strony; notatka o Lechoniowie zamieszczona została „na szarym końcu”, po wszystkich wiadomościach krajowych i zagranicznych, sporcie, finansach i reklamach]. Oto jej treść: *Jan Lechoń Serafinowicz, 57-year-old Polish poet in exile, was killed yesterday afternoon in a fall from the roof of the Henry Hudson Hotel, 351 West Fifty-seventh Street. He fell into a rear court of the hotel and was pronounced dead at 2 P.M. The police said they did not know if he had jumped or fallen. Mr. Serafinowicz, former cultural attaché of the Polish Embassy in Paris, came to this country from Brazil in 1941. With another poet, K. Wierzyński, author of „The Life and Death of Chopin”, he established a Polish-language weekly in this city devoted to literary and political matters. More recently, he had worked for Radio Free Europe, participating in broadcasts to his homeland. Mr. Serafinowicz, whose works were signed Jan Lechon, gained a reputation as a poet in his homeland when he was 18 years old. He wrote short poems in classical form, usually on Polish history. He had been living in a room at 505 East Eighty-second Street. Friends said that he was subject to terms of deep depression.*

<sup>22/</sup> Ludwik Seidenman (1906-2003), adwokat, czynnie zaangażowany w działalność polskich organizacji emigracyjnych w USA; służył poecie pomocą prawną w sprawach związanych z uzyskaniem obywatelstwa amerykańskiego; po latach zajmował się od strony formalnoprawnej ekshumacją szczątków Lechonia z 1<sup>o</sup> Calvary Cemetery w dzielnicy Queens w Nowym Jorku i przeniesieniem ich do Laszek pod Warszawą.



1998, jak pokonać tę przeszkodę, pół żartem pół serio sugerował np. odpowiedniej treści ogłoszenie w „New York Times”, ale jednocześnie wyraził sceptycyzm dla tej idei, niezależnie od związanych z tym horrendalnych kosztów, uznając – nie bez dania racji – że nikt nie powinien czuć się uprawniony do analizowania najbardziej intymnych sfer życia Lechonia. Przypuszczam jednak, że nie tylko ja, ale i wszyscy zajmujący się zawodowo badaniami literackimi, ośmieliliby się co najmniej polemizować z mec. Seidenmanem – szanując jego poglądy oraz autorytet moralny, jakim cieszył się wśród polskiej emigracji w USA – czym innym bowiem byłoby dążenie do zaspokojenia ciekawości w duchu taniej sensacji, czym innym zaś są powodowane potrzebami nauki poszukiwania badawcze.

O postaci Aubreya wspominał też Kazimierz Wierzyński w liście do Mieczysława Grydzewskiego, pisanym w tydzień po śmierci Lechonia, w którym sobie samemu i przyjacielowi w Londynie usiłował wyjaśnić przyczyny tej tragedii.

Tłem istotnym był niewątpliwie homoseksualizm. Leszek miał dwu przyjaciół. Jednego od 10-ciu lat, drugiego od niedawna. Aubrey – ten starszy – pojechał do Europy, gdzie mieli obaj się spotkać. Była to z pewnością nieszczęśliwa okoliczność, bo Aubrey mógłby mu pomóc. Leszek mówił mi, że Aubrey jest dla niego jak syn, że zrobił z niego człowieka jak Pigmalion – ale co mi z syna, powiedział do mnie raz, muszę mieć kogoś dla zmysłów. Aubrey’ego znałem i nie lubiłem go, był u nas na prośbę Leszka, kto był ten drugi nie wiem, co do tego jednak mam jak najgorsze przypuszczenia, o których nie będę Ci pisał. W każdym razie tu jest źródło niewiarygodnych zabiegów pieniężnych Leszka.<sup>23</sup>

O tych innych postaciach napomknął w *Dzienniku* wielokrotnie sam Lechoń, pisząc np. o przypadkowych „romansach”, „awanturkach” i „przygodach” – dla których używał tych i innych eufemistycznych określeń.

W kwietniu 1952 po raz pierwszy pojawia się wyznanie o kimś innym: „Nagle jasnowiedzenie, że tylko «najdroższa osoba» coś naprawdę dla mnie znaczy, mimo tej historii ukrytej, ale już przecież od dwóch lat ukrywanej”<sup>24</sup>. Czy to ta sama „historia”, która na dobre zagościła na kartach *Dziennika* od marca 1955 do kwietnia 1956 i związana jest z postacią nazywaną Libra? Kto kryje się pod tym imieniem? Nikt z żyjących do dziś przyjaciół Lechonia nie umie rozwiązać tej zagadki. Wolno jednak przypuszczać, że to nie o niej jako o „tym drugim” pisał Wierzyński. A zatem: ktoś trzeci?

Poeta uwikłany był więc w związki, których intensywność i stopień komplikacji przekraczały próg jego wysublimowanej wrażliwości i odporności emocjonalnej, czego ślady znajdujemy w zapiskach *Dziennika* niemal dzień po dniu. Założenie, że to one właśnie były źródłem narastających przez lata stanów depresyjnych, które ostatecznie doprowadziły Lechonia do samobójczej decyzji, byłoby zbyt dużym uproszczeniem i wyborem może najbardziej narzucającego się, ale nie do końca prawdziwego rozwiązania tajemnicy śmierci poety.

---

<sup>23/</sup> List z dn. 16 czerwca 1956, w: *Z listów do Mieczysława Grydzewskiego*, Londyn 1990, s. 75-78.

<sup>24/</sup> *Dziennik*, 11 kwietnia 1952, t. 2, s. 412.

## Dorosł Nowojorskie tajemnice życia i śmierci Jana Lechonia

Nie będzie jednak nadużyciem przypuszczenie, że nie mogąc uporać się samodzielnie ze swymi problemami uciekał się Lechoń do pomocy czy pod opiekę innych osób, w tym także lekarzy. Uprawniona też wydaje się sugestia, że wobec przerastających go problemów szukał czasem ucieczki w chorobę, w ten sposób koncentrując na sobie uwagę przyjaciół. Zdzisław Czermański wspominał m.in.:

Potrzebował opieki. Tę troskę o niego potrafił nawet wymusić albo tą czy inną sztuczką zdobyć. Czując, że nie może już przedłużyć swojej rekonwalescencji (po operacji w r. 1946) i że będzie musiał powrócić do samotnego życia w mieście, któregoś wieczoru potarł w rękę termometr, uzyskując w jednej chwili około 40° gorączki. Stanisław Strzetelski [...] spojrzawszy na termometr wykrzyknął: – Co?! Ależ to niemożliwe! Leszku – w tej chwili do łóżka! Leszek wyskoczył z jadalni. W kilka minut później zajrzałem do jego pokoju. Był już w łóżku i nie taił uśmiechu zadowolenia. „Wiem, że długo to nie potrwa – myślał zapewne – ale znowu będą dni z pierwszym śniadaniem podanym do łóżka, a w ciągu dnia kaszki, soki, kompoty i co chwila troskliwe pytania o zdrowie!”<sup>25</sup>

Powszechnie znana wśród przyjaciół jego skłonność do hipochondrii być może uśpiła ich czujność w najtrudniejszym etapie jego życia – poddawał się bowiem wielokrotnie hysterii związanej a to z cukrzycą, a to z chorobą serca lub nerek, podczas gdy wszystkie wyniki badań lekarskich nie przekraczały granic normy (niektóre z nich, np. z 25 kwietnia 1956 – półtora miesiąca przed śmiercią – odnaleźć można w archiwum w PIN). Jaką rolę pełniły zatem przepisywane pocie medykamenty, znane z nazwy na wielu zachowanych receptach? Po ich analizie historycy medycyny lub farmacji mogliby ewentualnie wyjaśnić: czy ordynowane mu lekarstwa były jedynie *placebo*, czy też służyły określonej terapii – a jeśli tak, to z jakimi dolegliwościami związanej? Wiadomo z *Dziennika*, że z polecenia dra Jana Jachimowicza wspomagał się Lechoń przez długi czas lekami o charakterze antydepresantów lub wręcz o działaniu narkotycznym. Początkowo wzbraniał się przed ich używaniem, bojąc się uzależnienia:

Półtorej strony powieści, płynące jak parę miesięcy temu. To na pewno skutek jakichś eliksirów i pigulek, które mi Jachimowicz przepisał. Mam nadzieję, że to tylko paliatyw, dopokąd mnie inne zastrzyki nie wzmocnią – bo jak dotąd tak i do końca nie będę sobie pomagał żadnymi sztucznymi podnieczeniami, raz na zawsze postanowiwszy sobie nie być ich niewolnikiem czy dłużnikiem.<sup>26</sup>

Jednak w miarę upływu czasu – jak sam wyznawał – zasiadał nad kartką papieru po zażyciu dexamylu lub innych „zielonych tabletek”:

Przepisałem, przerabiając dużą część tego „Żeromskiego” dla radia. Może i nie najgorzej, ale to rezultat jakiejś benzedrynowej pigułki, którą za receptą Jachimowicza

---

<sup>25/</sup> Z. Czermański *O Leszku*, w: *Pamięci Jana Lechonia*, Londyn, „Wiadomości” 1958 s. 53, przedr. w tegoż *Kolorowi ludzie*, Londyn 1966, s. 317-318.

<sup>26/</sup> *Dziennik*, 21 marca 1950, t. 1, s. 246.

zażyłem. Dobre i to, że coś mogłem robić po tym okropnym wczoraj, ale to nie lekarstwo, to, oby nie bardzo szkodliwy, narkotyk.<sup>27</sup>

Dr Jachimowicz, według samego Lechonia „doskonały diagnosta”<sup>28</sup>, specjalizował się – jak sądzię – w internie, jednak wobec poety odgrywał czasami samorzutnie rolę psychoterapeuty, którą realizował w jemu tylko właściwy sposób. „Jachimowicz ma swój bardzo mi odpowiadający i doskonale pocieszający mnie dowcip. Wczoraj pytałem go: «No i cóż moja analiza krwi. Czego mi brak?» – «Dolarów»»<sup>29</sup>. Innym razem *panaceum* na rzeczywiste i wymaginowane dolegliwości miała być „zmiana powietrza” lub np. wyjazd do Paryża.

Prawdziwym psychoterapeutą był natomiast Jacques Palaci (próbę zdefiniowania jego relacji z poetą może komplikować fakt, że to właśnie on był „podnajemcą” owego tajemniczego apartamentu na 67 ulicy). Prowadził z nim poeta rozmowy, odnotowywane w *Dzienniku* ze względu na ich interesującą treść (m.in. na temat istoty homoseksualizmu, rozwoju psychoanalizy, zjawisk metapsychicznych, znaczenia snów, poezji w ogóle)<sup>30</sup>, ale były one chyba bardziej dysputami towarzyskimi niż wyznaniem w relacji lekarz–pacjent. W *Dzienniku* pojawia się też inny psychoterapeuta, Gustaw Bychowski<sup>31</sup>, z którym Lechoń utrzymywał stosunki także raczej o charakterze towarzyskim, nie do końca wierząc, ale też i nie mając odwagi lekceważyć skuteczności metod psychoanalitycznych. Nie ma bowiem żadnych dowodów na to, by Lechoń korzystał z fachowej pomocy wspomnianych panów. To przyjaciele poety szukali dla niego do ostatniej chwili ratunku właśnie u dra Bychowskiego – według relacji Wierzyńskiego we wspomnianym liście do Grydzewskiego: na trzy dni przed śmiercią Lechonia Wincenty Kowalski<sup>32</sup>, roztaczający wtedy nad nim opiekę non-stop, sam zawiózł go na seans psychoanalityczny, drugi miał się odbyć za parę dni.

Wiele obiecywałam sobie po kontakcie z rodzinami nieżyjących już dwóch polskich medyków w nadziei odszukania dalszych informacji w być może pozostawio-

---

27/ *Dziennik*, 7 grudnia 1950, t. 1, s. 485.

28/ *Dziennik*, 4 listopada 1950, t. 1, s. 453.

29/ *Dziennik*, 15 sierpnia 1950, t. 1, s. 379.

30/ Zob. *Dziennik*, 2 września 1949, t. 1, s. 28-29; 1 października 1949, t. 1, s. 67; 24 września 1950, t. 1, s. 414; 25 czerwca 1952, t. 2, s. 473; 27 stycznia 1953, t. 3, s. 28.

31/ Gustaw Bychowski (1895-1972), po wojnie na emigracji pracownik nowojorskich uczelni medycznych (m.in. *Albert Einstein College of Medicine, Bellevue Medical Center, Mount Sinai School of Medicine*); psychoanalityk, zajmujący się głównie psychoterapią psychoz i humanista, którego zainteresowania skupiały się m.in. na twórczości artystycznej, wykorzystaniu psychoanalizy do badania działalności wybitnych postaci ze świata sztuki, polityki; autor m.in. monografii *Słowacki i jego dusza* (1930).

32/ Wincenty Kowalski (1892-1984), generał; żołnierz Legionów Polskich, uczestnik kampanii wrześniowej 1939, w 1940-1945 w niewoli niemieckiej, w 1945 w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, po demobilizacji od 1946 na emigracji w USA.

nych przez nich kartotekach lub innych dokumentach medycznych, czy o charakterze osobistym. Córka dra Bychowskiego, Monica Bychowska Holmes, mieszkająca dziś na Manhattanie, z którą w grudniu 2002 nawiązałam korespondencję, pozbawiła mnie jednak złudzeń, pisząc: *I am so sorry that I cannot help you because when my father died all of his patient files were destroyed. My mother consulted with the psychoanalytic institute in NY as to what should be done with patient files and the decision was reached that in order to preserve confidentiality, all files should be destroyed. And they were immediately after his death*<sup>33</sup>. Obawiam się, że podobny los mógł spotkać medyczne archiwalia dra Jachimowicza, niemniej nie zamierzam zaniechać prób odnalezienia i dotarcia do jego prywatnych spadkobierców, nie sądzę bowiem, by jakiegokolwiek stowarzyszenie medyczne, polonijne lub amerykańskie, mogło posiadać takie materiały.

Zaskakujące i zastanawiające jest natomiast konsekwentne i absolutne przemilczenie przez poetę w *Dzienniku* lekarzy amerykańskich, z którymi się kontaktował. Kim byli dr William Lewis i dr Eugene de Savitsch? – obaj z Waszyngtonu. Rachunki, jakie pisał im Lechoń, początkowo sporadycznie w 1950 i 1951, później w 1952 i 1953 zdumiewają niezwykłą regularnością, niemal co miesiąc. Widniejące na nich daty wizyt nie pokrywają się z odnotowywanymi skrętnie w *Dzienniku* wizytami składanymi przez Lechonia w waszyngtońskim domu Jana i Marii Wszelakich, serdecznie z nim zaprzyjaźnionych i po części sprawujących nad nim opiekę. Czyżby więc podróżował poeta do Waszyngtonu znacznie częściej, ukrywając ten fakt przed przyjaciółmi? Rachunki też nie odpowiadają, w jakim celu to czynił, tajemnica kryje się bowiem za określeniem *for professional service*. Jaki rodzaj fachowej pomocy medycznej deprymował poetę do tego stopnia, że trzeba było przemilczeć go nawet przed samym sobą?

A waga tych problemów musiała być istotnie bardzo znaczna. Wolno snuć takie przypuszczenia, skoro sam poeta poczynił następującą uwagę na temat szczerości swoich dziennikowych zapisów: Pisać w tym dzienniczku wszystko? Nie mówić o pewnych rzeczach – to nie zawsze hipokryzja, czasami to także przewyciężanie ich – naprawdę. Jeśli naprawdę będzie potrzeba tych zwierzeń – potrzeba dla rachunku z sobą lub dla oswobodzenia się – myślę, że potrafię pisać wszystko<sup>34</sup>. (Nowojorskie dzieje tragicznego emigranta pokazują, że jednak nie potrafił. I dlatego w samym *Dzienniku* tkwi mnóstwo zagadek i niewiadomych).

Ten zaskakujący zabieg „omijania” ważnych wydarzeń zastosował też Lechoń w innym przypadku. Ten neurastenik, analizujący najdrobniejsze nawet podwyższenie gorączki, ból głowy lub zęba, nie wrócił nigdy ani słowem do dramatycznego wypadku, jaki miał miejsce 6 sierpnia 1947 na *Pennsylvania Station* w Nowym Jorku. Tylko z zachowanych dokumentów wiadomo, że w rok później prawnik Serge Jarvis prowadził w imieniu Lechonia sprawę przeciwko *The Long Island Railroad* o odszkodowanie, w wyniku wypadku bowiem poeta był ranny m.in.

---

<sup>33/</sup> List z dn. 16 grudnia 2002, w moim archiwum.

<sup>34/</sup> *Dziennik*, 7 września 1949, t. 1 s. 34-35.

w głowę. Nic nie wyjaśnia jednak okoliczności, w jakich doszło do tego, że Lechoń wpadł w lukę między pociągiem a platformą peronu. Zdarzenia takie nieczęsto mają miejsce, my zaś nic nie wiemy o ówczesnej kondycji psychonerwowej poety i można snuć dość swobodne, ale jednak do pewnego stopnia uprawnione spekulacje, czy nie była to nieudana próba samobójcza, o której nie chciał pamiętać. Podobnie jak nigdzie nie pisał o pierwszej próbie odebrania sobie życia wiosną 1921, choć często wspominał późniejszą rekonwalescencję w krakowskiej klinice św. Łazarza, prowadzonej przez dra Jana Piltza<sup>35</sup>.

Był-że więc Lechoń od najwcześniejszych lat skazany na ten rodzaj śmierci? – a nieudane próby były kolejnymi odsłonami nękającej go niemal od zawsze depresji czy heroiczną ucieczką od grozy istnienia i od czyhających wciąż na niego nieokreślonych, pozazmysłowych sił, które upostaciował ostatecznie w tragicznym wierszu *Erynie*?

Tę zadziwiającą metodę przemilczania w *Dzienniku* spraw najtrudniejszych zastosował Lechoń raz jeszcze – w przypadku starań o obywatelstwo amerykańskie. Według materiałów archiwalnych można ustalić, że pierwszy wniosek w tej sprawie złożył w 1952, ale dopiero 24 lutego 1956 zanotował w *Dzienniku*:

Przylapałem się na czymś nieprawdopodobnym. Ponieważ ukrywałem przed rodakami, że miałem *hearing* przed naturalizacją, więc i w tym dzienniku to ukryłem. Otóż miałem ten przesłuch i wypadł fatalnie, tak byłem strasznie zmęczony, a zresztą moja znajomość angielskiego nie zawiera w sobie zrozumienia szybkiej mowy. Nie rozumiałem połowy pytań i jeżeli „puszczono” mnie (jak mam nadzieję), to dzięki wysokim protekcjom.<sup>36</sup>

Protektorami Lechonia – jak wiadomo – byli Janusz Iliński<sup>37</sup> i Władysław Besterman, wysoko ustosunkowani wśród urzędników administracji amerykańskiej. Wbrew dość powszechnemu przekonaniu, mec. Seidenman, nie posiadający jeszcze wówczas amerykańskich uprawnień do wykonywania zawodu adwokata<sup>38</sup>, służył pocie – jak sam mi wyznał – tylko nieformalnie radą i pomocą.

---

<sup>35/</sup> Jan Piltz (1870-1930), lekarz neurolog i psychiatra, profesor UJ, założyciel Towarzystwa Neurologiczno-Psychiatrycznego; kierowana przez niego klinika św. Łazarza, powstała w 1919, była wówczas najnowocześniejszą kliniką psychiatryczną w Europie Środkowej. Po raz pierwszy Lechoń przebywał tam na leczeniu wiosną 1921, po pierwszym zamachu samobójczym, i następnie – w związku z powracającymi stanami depresji nerwowej – także wiosną 1923.

<sup>36/</sup> *Dziennik*, 24 lutego 1956, t. 3, s. 792.

<sup>37/</sup> Janusz Iliński (1896-1961), pułkownik Wojska Polskiego, dyplomata; po wojnie wyemigrował do USA, gdzie wkrótce przyjął obywatelstwo amerykańskie; początkowo mieszkał w Waszyngtonie i współpracował z armią amerykańską.

<sup>38/</sup> Zgodną z amerykańskimi przepisami praktykę adwokacką mec. Seidenman mógł podjąć w 1957, a zatem w rok po śmierci poety.

## Dorosł Nowojorskie tajemnice życia i śmierci Jana Lechonia

Problemem jednak okazał się nie ów opisany przez Lechonia egzamin, ale ujawnienie wobec władz amerykańskich jego homoseksualizmu. Przebieg tej sprawy relacjonował Wierzyński Grydzewskiemu w cytowanym już liście<sup>39</sup>. Natomiast red. Bolesław Wierzbiański<sup>40</sup> (we wspomnianym już wcześniej filmie telewizyjnym o poecie) powiedział po latach wprost, o czym polski Nowy Jork szeptał z trwogą po cichu, że w administracji amerykańskiej złożono donos – twierdził nawet, że już po śmierci poety widział ten swoisty „dokument” i że zna osobiście jego autora, Polaka-emigranta. Potwierdził tym samym, dotyczące tych szokujących okoliczności, przypuszczenia Haliny Wittlinowej<sup>41</sup>. O agentach FBI, którzy wcze-

---

<sup>39/</sup> Wierzyński pisał m.in.: „Od dwóch trzech miesięcy był w depresji. Starał się o obywatelstwo amerykańskie, «sponsorami» byli Iliński i Seidenman, przeszedł «egzamin», ale go nie wyzwano do przysięgi, co jest zwykłym następstwem w tej procedurze. Zaczęło go to niepokoić, zwrócił się do Bestermana o interwencję i wtedy okazało się, że dalszy bieg sprawy zatrzymany został z powodu dawnych o nim zeznań o wiadomym Ci charakterze. Leszek oddał sprawę adwokatowi amerykańskiemu, specjalście od «komplikacji» związanych z obywatelstwem, który podjął się załatwić rzecz w ciągu kilku miesięcy. Był to rozumny krok ze strony Leszka, bo sprawa dostała się we właściwe ręce i przestała obijać się po przedpokojach przyjaciół i życzliwców. Adwokat Kanarek, który był w stałym kontakcie z owym specjalistą twierdzi, że pomyślny rezultat nie ulegał najmniejszej wątpliwości. Urząd naturalizacji podjął nowe badania, o ich przebiegu i treści wiedział adwokat i uważał, że wszystko jest w porządku, ale inwestycja bardzo Leszka deprymowała”.

<sup>40/</sup> Bolesław Wierzbiański (1913-2003), dziennikarz; w 1939 współorganizator Światowego Związku Polaków z Zagranicy; w czasie wojny współzałożyciel Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja” w Londynie; od 1956 w USA, w 1971 założyciel i redaktor „Nowego Dziennika”, największej polskiej gazety wydawanej poza krajem.

<sup>41/</sup> Halina Wittlinowa (1900-1994), żona poety Józefa Wittlina; doktor nauk humanistycznych; na emigracji w Nowym Jorku uczyła literatury i języka polskiego w New York University oraz pracowała w Liceum Francuskim. W wywiadzie pt. *Skamandryci w Nowym Jorku*, udzielonym Annie Frajlich („Więź” 1990 nr 11-12), wspominała w związku ze śmiercią Lechonia: „Co mnie było wiadome? On miał jechać do Maroka. Zdaje się, że tam jechał Morawski na jakąś placówkę dyplomatyczną rządu londyńskiego. On chciał koniecznie pojechać za granicę, a obywatelstwa nie miał, ponieważ – jak mówiono, ja tego nie sprawdzałam – administrator pisma, które on wydawał, tego dziennika, zadenuncjował go w Imigracji. Niby to, co dzisiaj można krzyczeć na ulicy, na pochodach, wtedy było bardzo źle widziane w Urzędzie Imigracyjnym. Jego zywali na przesłuchania w sprawach homoseksualnych. On miał chłopca, którego bardzo kochał, ta «najdroższa osoba» w «Pamiętniku» – Audry [sic!]. I wszystko przez tego, który doniósł. Jego tak wymęczyły te przesłuchania, a poza tym miałam wrażenie, że był szantażowany. Bo on jednego dnia wziął we *Free Europe* 400 dolarów, wiem, że mu wypłacono. To wtedy była duża suma. A tego dnia, kiedy poszedł i odebrał sobie życie, pożyczył od kogoś dwa dolary. To znaczy, że już wszystko wydał, więc pewno ktoś go szantażował. Z tego samego powodu. To zupełnie wystarczyło”. Wittlinowa zapewne nieświadomie pomyliła dziennik z faktycznie redagowanym przez Lechonia w 1943-1947 „Tygodnikiem Polskim”. W stopce redakcyjnej w 1945-1947 jako

śniej już przepytawali o Lechonia, wspominał też wcześniej Wierzyński, ale kojarzono to wówczas raczej z faktem podjęcia przez poetę pracy dla Radia Wolna Europa. Wydaje się, że istotne komplikacje i zatrzymanie dalszego biegu procesu naturalizacji nastąpiło 7 kwietnia 1956.

Dzisiaj wielkie zmartwienie, nie kłopot – ale raczej nieszczęście. Niby zupełnie nieoczekiwane, bo wbrew przewidywaniom wszystkich ekspertów, ale ja sam wszystko czułem przez skórę czy przez nerwy wbrew tym wszystkim ekspertom, i do samego nieszczęścia dochodzi teraz poczucie czegoś, co jest poza rozsądkiem, świadomości, że przeczucie i wróżby są ważniejsze niż logika i oczywistość. Boże, dobry Boże, nie opuszczaj mnie!<sup>42</sup>

Ten pełen dramatyzmu zapis w *Dzienniku* wydaje się świadczyć, że piętrzące się nowe trudności były już ponad siły udęczonego poety, który rozumiał je jako nieodwracalnie ciężące na nim fatum.

Na podstawie obowiązującej obecnie w USA ustawy o powszechnej dostępności informacji (*Freedom Information Act*) podjęłam starania w *Immigration and Naturalization Service* w Nowym Jorku i Waszyngtonie o udostępnienie dla celów naukowych akt Jana Lechonia (Leszka Serafinowicza). Konieczne procedury są w toku, a w analizie tych źródeł archiwalnych pokładam ogromne nadzieje na wyjaśnienie choć części tajemnic Lechonia.

Powody i okoliczności samobójczej decyzji poety były interpretowane po wielokroć i na najrozmaitsze sposoby. Symptomatyczne wydaje się, że ci, którzy towarzyszyli mu niemal do końca (gen. Wincenty Kowalski, Zofia Rajchmanowa<sup>43</sup>, ks. Franciszek Tyczkowski<sup>44</sup>) lub ci, których ta śmierć dotknęła najboleśniej (Wierzyński, Czermański, Wittlinowie) zachowywali pełne dyskrecji i godności milczenie. Własne wersje wydarzeń, niekiedy zupełnie fantastyczne, snuli wszyscy inni. Efektem takiej właśnie rozbujanej fantazji był m.in. głośny swego czasu, bo w zasadzie po raz pierwszy *expressis verbis* ujawniający fakt homoseksualizmu Lechonia, artykuł Henryka Szletyńskiego *Tajemnica śmierci Jana Lechonia*.<sup>45</sup> Czytamy w nim:

Nasza dawna koleżanka Karin Tiche kilkakrotnie odwiedziła Warszawę. Podaje jej opowieść o tym, co ona i osoby z jej kręgu uznały za bezpośrednią przyczynę decyzji samobójczej.

---

*Administrator and Business Manager* figuruje dr Leopold Obierek. Jednak ani Wittlinowa, ani Wierzbiański w oczywisty sposób nie przytaczają nazwiska rzekomego denuncjatora.

<sup>42/</sup> *Dziennik*, 7 kwietnia 1956, t. 3, s. 821.

<sup>43/</sup> Zofia Rajchmanowa, z domu Małecka, *primo voto* Bagniewska, żona Henryka Floyar-Rajchmana (1893-1951), polityka obozu piłsudczykowskiego; po śmierci męża wieloletnia partnerka życia gen. Wincentego Kowalskiego. To w mieszkaniu jej i gen. Kowalskiego Lechoń przebywał w ostatnich dniach.

<sup>44/</sup> Franciszek Tyczkowski, kapelan Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, uczestnik bitwy pod Monte Cassino; po wojnie na emigracji w Nowym Jorku; opiekun duchowy polskiego środowiska emigracyjnego, wieloletni spowiednik Lechonia.

<sup>45/</sup> „Życie Literackie” 1984 nr 14.

## Dorosz Nowojorskie tajemnice życia i śmierci Jana Lechonia

Karin potwierdziła, że Lechoń kochał się w urodziwym, acz mało sympatycznym młodzieńcu. Któregoś dnia Leszek oświadczył mu, że nabył dwa bilety na wieczorny koncert i prosi, aby się razem wybrali. Młodzieniec odmówił, albowiem miał wieczór już zaplanowany.

Lechoń udaje się na koncert sam. Jest przerwa i wówczas natyka się na swego przyjaciela pod ramię z osobą płci niewieściej. Nie pohamowuje gwałtowności i gromi spotkanego, że nie należało go okłamywać, że... etc. I oto człowiek, który na kartach *Dziennika* istnieje we mgle niedopowiadanych wzmiankowań, tutaj istniejący z krwi i kości, wymierza policzek Janowi Lechoniowi.

Nazajutrz uganiający się za zarobkiem emigrant, umówiony w kawiarni hotelowej z menadżerem filmowym, potrzebującym jakiś tekstów, spożywa z nim wczesny obiad. Przeprasza, mówiąc, że wróci za chwilę, wkracza do windy unoszącej go bardzo wysoko. Stamtąd dosięga ziemi.

Ileż tu barwnej fikcji, najdalszej od rzeczywistych faktów i boleśnie krzywdzącej pamięć poety! Nie ma tu miejsca na przejmującą relację Stachy Nowickiej, u której Lechoń w stanie skrajnego wyczerpania nerwowego spędził swój ostatni weekend<sup>46</sup>; nie pasuje do tej konwencji wstrząsające wspomnienie Mariana Hemara o ostatnim spotkaniu z Lechoniem podczas nagrywania audycji dla Radia Wolna Europa<sup>47</sup>; pominięte zostają ofiarność i poświęcenie gen. Kowalskiego, który spotkałszy Lechonia błagającego się niczym w obłędzie gdzieś w okolicach Times Square zabrał go na ostatnie dni do swego domu – po to, by zawieźć go do dra Bychowskiego i sprowadzić mu spowiednika, ks. Franciszka Tyczkowskiego. Nieopisana ludzka tragedia przegrywa z sensacją, a fatalnie zawikłany spłot różnorodnych dramatycznych okoliczności interpretowany jest w najbardziej uproszczony sposób.

Jedynym na pewno prawdziwym elementem w tej sensacyjnej relacji jest menadżer filmowy. Był nim Wincenty Bejtman, z którym Lechoń związany był zawodowo od 1949<sup>48</sup>, później także „sponsor” amerykańskiej wersji wydania *Poezji zebranych*

---

46/ Stanisława (Stacha) Nowicka-Chylińska, w dwudziestolecie międzywojennym tancerka warszawskich teatrów kabaretowych; obdarzona parapsychofizycznymi zdolnościami, prowadziła po wojnie na emigracji rodzaj gabinetu psychoterapii; wielokrotnie opiekowała się Lechoniem. Artykuł wspomnieniowy, o którym mowa, to *Ostatni weekend Lechonia*, „Życie Literackie” 1982 nr 21.

47/ Marian Hemar (1901-1972), poeta i satyryk; po wojnie na emigracji w Londynie; w czasie poprzedzającym śmierć Lechonia odbywał swoją pierwszą podróż artystyczną do Ameryki – serdecznie zaprzyjaźnieni w kraju, spotkali się po raz pierwszy po wielu latach i snuli nawet plany wyjazdu Lechonia do Londynu. Opisał to w *Liście o Lechoniu* w książce *Awantury w rodzinie*, Londyn 1967, s. 73-82.

48/ Bejtman był producentem lub dystrybutorem filmowym, związanym z instytucją o nazwie PIC FILMS Inc., *Producers and Distributors of Motion Pictures*, mieszcząca się wówczas przy 117 West 48 Street w Nowym Jorku. W 1949-50 Lechoń odbył z „jego” filmami (według zachowanych archiwaliów były to m.in.: *Poland now, Blind Children* o Zakładzie Opieki nad Niewidomymi w Łaskach pod Warszawą, *Warsaw Uprising*



nych 1916-1953, przygotowanych w 1954 w Londynie przez Mieczysława Grydzewskiego. Prawdopodobnie po tym tragicznym wydarzeniu był przesłuchiwany przez policję, ale w *Criminal Record Section w Police Headquarters* nie zachowały się żadne akta (oficer udzielająca mi informacji wyjaśniła, że najprawdopodobniej nie prowadzono wówczas żadnego szeroko zakrojonego śledztwa, uznając że przyczyną śmierci było samobójstwo, jakich wiele codziennie w Nowym Jorku). Może jednak jego relacja rzuciłaby jakieś nowe światło, które pozwoliłoby uchylić choćby rąbka tragicznej tajemnicy? Trudno mi zatem zrozumieć fakt, że Bejtman pozostał dla polskiego środowiska osobą w zasadzie nieznaną, że nikt z kręgu bliskich Lechonia nie usiłował poznać jego relacji, że dziś nikt nie umie powiedzieć, gdzie można by szukać tego ostatniego rozmówcy tragicznego poety.

Zagadki i tajemnice nowojorskiej biografii Lechonia, w tym tak dramatycznie złożona tajemnica śmierci – prawdopodobnie, mimo usilnych starań badaczy, nie zostaną nigdy do końca wyjaśnione. Bo barwne spekulacje skażone wszechobecną dziś żądzą sensacji nie mogą zastąpić rzetelnej wiedzy. Paradoksalnie prawdziwe w tym kontekście wydaje się jednak zdanie kończące bulwersujący artykuł Szletyńskiego: „Badacze powikłań w życiu jednostek wiedzą o tym, iż są takie lęki, gdy człowiek wybiera śmierć nie tylko przed dalszym istnieniem, nie przez to, że żyć nie potrafi, ale dlatego, że nie może zwalczyć lęku przed nią. Przed śmiercią”.

---

o Powstaniu Warszawskim), szereg podróży do różnych miast Wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Projekcje tych niemych obrazów, do których poeta wygłaszał komentarz na bieżąco, odbywały się w domach kultury związanych z Polonią lub w parafiach zdominowanych przez Polonię. W tym samym czasie i w latach następnych Lechoń wielokrotnie na zlecenie Bejtmana pisał komentarze do filmów, czasem też scenariusze filmowe (m.in. o J.I. Paderewskim oraz pełnometrażowa fabuła o Brazylii; brak danych o ich realizacji), czego potwierdzenie znajdujemy w wielu zapiskach *Dziennika*.